Gdybym była jeszcze piękniejsza, nazywałabym się Hepburn — Bernierdh

Zawsze myślałam, że nieoszlifowane diamenty nie różnią się wiele od tych z pierścionków zaręczynowych. Jeśli już, to co najwyżej kształtem. Sądziłam, że mniej przypominają te błękitne pięciokąty, które kupujesz w grach na komórkę obok złota czy dolarów albo przesuwasz po trzy w rzędzie. Że są chaotycznymi bryłami, ale wciąż pięknymi, wciąż lśniącymi, wciąż pasującymi do perfum Chanel i złotej ery Hollywood (rasistowskiej, ale chociaż pięknej).

Okazało się, że to nieprawda. Nieoszlifowane diamenty bardzo ciężko odróżnić od zwykłych, szarych kamyków, które wpadają czasami do buta i doprowadzają do szału.

Ja chyba jestem takim diamentem (albo zwykłym kawałkiem nudnej skały). Tyle że mnie nie znajdziesz w skropionej krwią kopalni, gdzieś w Afryce, a na warszawskiej Pradze, zaraz za kioskiem Ruchu, obok starej gazowej latarni, którą ktoś przerobił na elektryczną. Leżę sobie pod stertą gnijących liści (lub trupów) i egzystuję (lub bardzo powoli znikam).

Wypłukuje mnie woda. Słona, trochę słodka, jak pot z czoła.

Kiedyś leżałam gdzieś indziej – na chodniku przy Starym Mieście. Nie tam, gdzie chodzą turyści, grajkowie i niespełnieni malarze. Tam, gdzie nie chodzi absolutnie nikt. W jedynej uliczce, w której nie sprzedają zapiekanek, lodów, ani nawet nie można zrobić sobie zdjęcia z żadnym desperatem pomalowanym na złoto. W takiej gdzie znika klimat festynu, a zostaje chłód kamienic.

Leżałam tam, wśród kocich łbów. Wpasowywałam się w krajobraz.

Byłam całkiem szczęśliwa. Fakt, nikt nie mógł mnie tu zauważyć, nikt nie dostrzegł we mnie diamentu, ale nikt też nie odkrył, że piersi mam bardziej płaskie niż jędrne, a sutki bardziej rozlane niż zalotnie sterczące. Że moje usta są wąskie, a biodra wręcz przeciwnie. Że mój tyłek nie kręci się, a trzęsie, a oczy nie błyszczą, tylko blakną, matowieją, niczym schnąca ściana.

Nikt mnie nie kopnął. Nie zgasił o mnie papierosa.

Moim jedynym towarzyszem był rozkładający się trup pisklaka. Takiego łysego, zmarłego ledwie kilka chwil po wykluciu. Z sinymi, wyłupiastymi oczami, przypominającymi piłeczki pingpongowe. Z przezroczystym dziobem, koślawymi nóżkami, skrzydłami jak u oskubanego kurczaka. Wyglądający tak wstrętnie, że nie zjadły go ani koty, ani inne ptaki. Nawet muchy trzymały się z daleka.

Ja zaś patrzyłam na niego i myślałam, jak pięknie prezentowałby się na niebie, w promieniach słońca kluczących między jego lotkami, dodających jego piórom jeszcze więcej barw. Jak wspaniale by błyszczał, gdyby los dał mu szansę. Gdyby nie skończył na tej cholernej ulicy.

Pewnego dnia zniknął. Zostawił mnie samą, w moim własnym kącie.

Szukającą najbladszego błysku diamentu.

11.7.2018

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bernierdh, dodano 10.06.2023 14:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.